

Wszystkie drogi prowadzą do Tbilisi. Chcesz tego czy nie, podróżując po Gruzji prędzej czy później znajdziesz się w stolicy ponownie. Na zatłoczonym dworcu Didube, na ludnym lotnisku, albo Bóg jeden wie gdzie jeszcze. Po prostu marszrutka zatrzyma się na jednym z licznych przystanków. A dalej radź już sobie sam: jedź do najbliższej stacji metra albo gdzieś w kierunku centrum. Do takiego właśnie miejsca „nie wiadomo gdzie” trafiłem razem z Nim i z Nią. Bardzo sympatyczna para. Poznaliśmy się w marszrutce z Erywania do Tbilisi. Ona, szczupła Rosjanka o słowiańskiej urodzie: długie złociste włosy, duże jasne oczy.

Dwadzieścia kilka lat. On, Ormianin. Niewysoki, energiczny, rozmowny. Błyskotliwy i pewny siebie. Trudno mi uwierzyć, kiedy mówi, że jest tuż przed czterdziestką. Wygląda zdecydowanie młodziej.

On i Ona niedawno się pobrali. Na palcach dostrzegam złote obrączki. Skromne. Nie takie jak tradycyjne ormiańskie, ogromne i fantazyjnie grawerowane. Właśnie wybierają się w swoją podróż poślubną. Na Bałkany. Do Chorwacji i Serbii. A potem lecą do Niego, do Stanów, do Los Angeles. Jak trafił za Ocean? Urodził się w Baku, potem zamieszkał w Górskim Karabachu. Kiedy w początkach lat dziewięćdziesiątych doszło do wojny Armenii z Azerbejdżanem o ten niespokojny rejon, wielu wyjechało.

- Byłeś może w Górskim Karabachu? – pyta mnie z nadzieją w głosie i błyskiem w oku.

- Nie, nie byłem.

- Szkoda...

On dużo wie o świecie. Widać, że gruntownie wykształcony. Jak przystało na ormiańskiego emigranta. Opowiada mi o katedrze ormiańskiej we Lwowie. O diasporze ormiańskiej w Zamościu.

- Wiesz, że Tbilisi to było kiedyś miasto ormiańskie? Całe centrum było zamieszkane przez naszych. Teraz już nie. Wiedziałeś, że Gruzini niszczą ormiańskie cerkwie?

- Aż tak źle?

- Nie, że aż tak... Myślę, że po prostu oni mają wobec nas kompleks niższości i stąd to wszystko...

Życzę szczęścia Jemu i Jej, kiedy nasze drogi rozchodzą się gdzieś w centrum Tbilisi.

Przemierzam z radością znane mi już drogi. Tym razem jednak na nocleg nie trafiłem do

Iriny, chociaż taki właśnie miałem plan, kiedy podążałem w kierunku kolejki metra na placu Wolności.

- Szukasz miejsca na nocleg? – po drodze, niedaleko od stacji metra, zaczepił mnie młody mężczyzna. Potwierdziłem. - Jedź ze mną. Zobaczysz, jak ci się spodoba, zostaniesz.

Pojechałem więc do znanej mi dzielnicy pełnej kotów. Poprowadził mnie ciemnym podwórzem do starej kamienicy. Podwórze i wejście odrapane, ale tak to bywa, że na Kaukazie obskurna, od lat nie remontowana klatka schodowa prowadzić może do zadbanego, wręcz wymuskanego mieszkania. Jakby magiczny tunel do innego świata. Takiego ze starymi meblami, sprzętami, kryształowymi żyrandolami, ozdobnymi sufitami ze sztukaterią. A do tego obowiązkowo z nowoczesnym telewizorem. Oczywiście zwykle coś nie będzie działać pośród tego przybytku: albo w toalecie woda się nie spłukuje, albo światło gaśnie nagle, albo jeszcze coś innego, jakaś inna awaria. Kiedyś się naprawi przecież.

Tak też jest u Tamar, do której mieszkania mnie zaprowadził. Tlenionej blondynki po pięćdziesiątce. Atrakcyjnej jak na swoje lata Ormianki. I nieco próżnej. Nic nie może sprawić jej większej przyjemności od zaskoczonej miny, kiedy wyjawia, niczym najgłębiej skrywaną tajemnicę, swój prawdziwy wiek.

- Ja już nawet wnuków się doczekałam, wyobraź sobie!

Kiedy dodać jeszcze komplement, widać wówczas jak beztrósco cieszą się nieokreślonego koloru duże, dziewczęce i ponętne oczy Tamar. Widok godny wysiłku wyszukania odpowiednich słów.

Tamar lubi dużo mówić. Chciałaby przekazać jak najwięcej myśli w możliwie krótkim czasie. Dlatego płacze wątki, popada w dygresje, gubi kontekst. Trochę jak mała dziewczynka, która zaczyna dopiero odkrywać wielki i tajemniczy świat, aby ze szczerym zdziwieniem o nim opowiedzieć. Trudno za nią nadążyć, złapać sens, kiedy krętymi niczym ulice Tbilisi zaułkami snuje swoją opowieść. O sadzie, o domu, o rodzinie, o złym prezydencie...

- Wiesz, wstyd mi, że muszę wynajmować pokoje gościom... Ale trudna taka sytuacja u mnie. Młodszego syna aresztowali – wyznaje ze łzami w oczach. I znowu przybiera tę swoją minę kruchej i bezbronnej wobec okrutnego i nieznanego jej świata nastolatki.

Tłumaczy mi, że młodzieniec wdał się w bójkę z policją. Dlaczego? Jasno to nie wynika z opowieści Tamar. Ni to sprawa polityczna, ni to jakieś chuligańskie utarczki. Prędeż chyba

jednak to drugie. Mogą w Gruzji pobić za przekonania polityczne, mimo deklarowanych oficjalnie prozachodnich sympatii władz. Ma swoje granice tutejsza demokracja, to prawda. Ale na trzy lata raczej nie sadzają za kraty.

- Pistolet u niego znaleźli. Podrzucili na pewno. Bo mi mówi, że nie miał żadnej broni! – przekonuje płaczliwym głosem zrozpaczona Tamar.

Mimo swojego kruchego dziewczęcego uroku, domem rządzi niepodzielnie ona. W otoczeniu rodziny zrzuca czasami swoją otoczkę dziewiczej bezbronności, aby stać się władcza, niczym gruzińska królowa, po której nosi swoje dumne imię. Mąż, pokorny i cichy Georgi, snuje się po przestronnych pokojach niczym cień. Nie żeby zaraz mizantrop. Chętnie porozmawia swoim cichym głosem, szeptem prawie zmuszającym do nadstawienia ucha i skupienia uwagi na każdym, z rozmysłem dobieranym słowie. O sporcie opowie. O polityce. O niej szczególnie chętnie. Jak każdy Gruzin, Georgi pasjonuje się polityką.

Obraz rodziny dopełnia starszy syn, Niko. Ten sam, który przyprowadził mnie do domu Tamar. Niko zna biegle polski i trochę angielski. Poza tym rosyjski, gruziński, ormiański. Wydaje mu się, że nie ma swojego rodzimego języka. W każdym mówi z jakimś obcym akcentem. Ale z ojcem najchętniej rozmawia w języku Puszkina. W kuchni telewizor nastawiony jest na rosyjski kanał filmowy. Niko czasami wyjdzie na ulicę, przyprowadzi jakichś klientów. Ale raczej niechętnie. Poza tym siedzi przy komputerze, ogląda mecze angielskiej Premier League i snuje się bez celu po mieszkaniu. Widać, że to irytuje Tamar. Od czasu do czasu pokrzyczy na niego. Po ormiańsku.

- Kiedy się denerwuje, zawsze klnie po ormiańsku – śmieje się Niko.

Rozbudzone emocje najłatwiej wyrazić w swoim rodzimym języku.

- Wiesz, co zrobił? Zostawił włączone żelazko i wyszedł! Jak tutaj się nie awanturować?! No powiedz sam! – czerwienieje na twarzy ze złości Tamar. Nie jest to częsty widok, kiedy pozwala sobie na coś takiego przy gościach. Więc albo trochę już zostałem włączony do kręgu bliskich, albo miarka się przebrała.

Niko jednak wie, jak sobie radzić z wybuchami Tamar. Przytuli matkę, pogładzi włosy i ta się natychmiast uspokaja. Widać, jak odpływa z niej cała złość. Na jakiś czas przynajmniej. Bo w domu nawet spokojny Georgi nie może się czuć bezpiecznie, kiedy żona się wścieknie. Ale wszyscy tutaj wiedzą, że jej gniew równie szybko gaśnie jak się zapala. Szczera i autentyczna

Tamar. Wierzę, że w głębi duszy naprawdę jej żal, że musi brać od gości pieniądze za nocleg.

- Gdybyś przyjechał do Gruzji jakieś trzydzieści lat temu, mógłbyś w ogóle nie zabierać pieniędzy. Zobaczyłbyś prawdziwą kaukaską gościnność. Tak by cię tutaj ugościli, poważnie – mówi Niko i zaciąga się głęboko mentolowym papierosem. Na pierwszy rzut oka wygląda młodziej niż na swoje trzydzieści kilka lat. Zblazowany. Na piersi rozchełstana koszula. Nieuczesane włosy sterczą na boki. Widać, że dopiero wygramolił się z łóżka. Popijamy bez pośpiechu gęstą gruzińską kawę. Na słodko.

- Niko, znasz jakieś gruzińskie toasty?

- Po co ci to?

- Czytałem o nich. Chciałbym usłyszeć.

- Coś tam słyszałem. Nie pamiętam... Zobacz w necie. Tam znajdziesz, ile zechcesz.

Niko nie rozumie, po co cudzoziemcy jadą do Gruzji. Sam najchętniej pojechałby do Tajlandii. Ciepło, egzotycznie, dziewczyny piękne. A tutaj? Nuda prowincjonalna. Opowiada, że uczył się i pracował w Polsce. Potem mieszkał na Ukrainie. Studiów nie skończył. Awanturował się w akademiku.

- Głupi byłem, młody. Może gdyby... Ale co tam! – macha od niechcienia ręką. W każdym razie sprawa zrobiła się poważna. Trafiała do samego rektora. Z uczelni wyrzucili, więc zabrał się za własny biznes. Prowadził firmę transportową. Zatrudniał emigrantów z byłego ZSRR. Na czarno, jak się domyślam. Dorobił się nawet na tym, ale potem stracił prawie wszystko. W międzyczasie ożenił się, ale rozwiódł. Potem znowu ożenił. I znowu rozwiódł. Aż wreszcie wrócił do Gruzji.

- Tam, za granicą, zawsze jesteś obywatelem drugiej kategorii. Tutaj jestem pośród swoich – oszczędny uśmiech pojawia się na jego młodzieńczej twarzy.

- Pracujesz?

- Nie. Mam jeszcze jakieś pieniądze odłożone. Fakt, kończą się szybko...

Rano wsiadamy do jego czarnego bmw o skórzanych fotelach i wyruszamy w stronę lotniska. „Bumer” świadczy, że u Niko zostało jeszcze trochę pieniędzy z polskiego biznesu.

Wystarczająco, żeby jeszcze trochę nie zajmować się niczym konkretnym. Odpocząć po

wieloletniej tułaczce. Gruzini nie wyjeżdżają przecież za granicę. Cokolwiek by się nie zdarzyło, zostają u siebie. Ormianie, owszem, emigrują. Jak tylko nadarzy się okazja na lepsze życie. Wszędzie na świecie spotkasz Ormian, gdzie tylko da się żyć i zarabiać. A w żyłach Niko przelewa się ormiańska krew matki i gruzińska ojca. Widać, że ta druga ostatecznie zyskuje przewagę.

Niko żegna się oszczędnie i jakby od niechcienia, popalając mentolowego papierosa. Zapewne myśli o tym, że za chwilę dokończy przedwcześnie przerwany sen.

- Trzymaj się. Pozdrów ode mnie moją ukochaną Polskę! – rzuca na odchodne, zatrzasnąwszy za sobą energicznie drzwi auta.

Fragment książki *Pestki winorośli i trzy jabłka. Reportaże z podróży do Gruzji i Armenii* Marcina Sawickiego, która ukaże się nakładem Fundacji Sąsiedzi 1 października 2014 r.